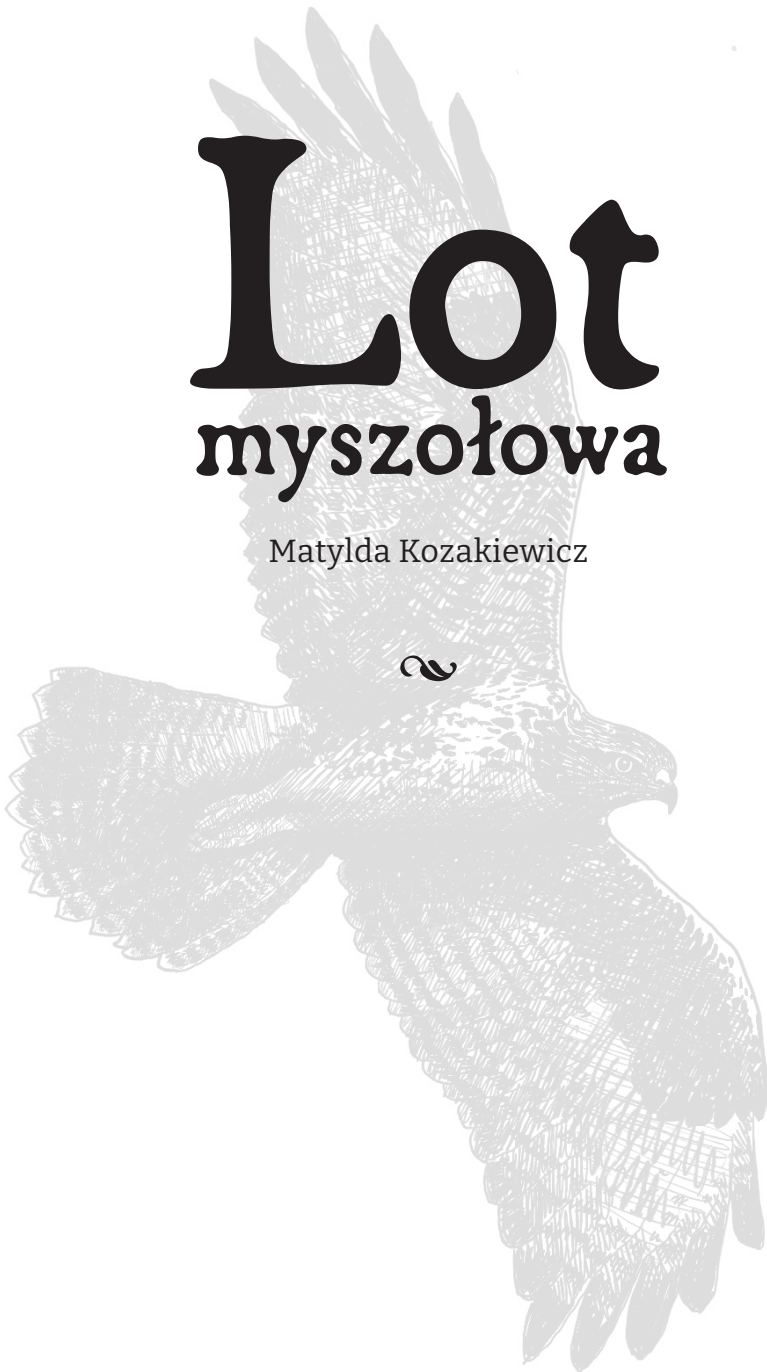


Lot myszołowa

Matylda Kozakiewicz



I

Cora

Wchodząc do kajuty kapitana, ścisnęła w dłoni srebrną monetę, choć nie żywiła wielkich nadziei, by było za co zapłacić. Stare deski skrzypiały pod stopami, a w powietrzu unosił się zapach kurzu.

Stary marynarz z ogorzałą twarzą i siwą brodą uśmiechnął się na jej widok.

— Co nowego w Rosmarry? — powitał ją tym samym pytaniem co zawsze.

— Zupełnie nic — odpowiedziała tak jak za każdym razem. W wiosce nigdy nie działo się nic nowego, a już na pewno nic, co by zainteresowało takiego człowieka jak on.

— Wyszłaś już za mąż?

Przeważnie drażniły ją te pytania o zamążpójście, ale kapitanowi Hibbin-gowi je wybaczała. Pokręciła głową, a on odchrząknął.

— Nie interesują mnie takie rzeczy, kapitanie. Proszę się o mnie nie martwić.

— Martwić o ciebie? Ha! — roześmiał się. — Martwię się o te wszystkie złamane serca wokół ciebie. Pewnie się odgonić nie możesz. — Albo był już zbyt stary, żeby ją dokładnie widzieć, albo naprawdę ją lubił i chciał w ten sposób pocieszyć. Tak czy inaczej, było to miłe. Przeszępowała z nogi na nogę, bo oboje wiedzieli, po co tu przyszła. — Niestety tutaj też bez zmian — powiedział ze smutkiem. — Chciałbym mieć dla ciebie lepsze wiadomości.

— Rozumiem...

Skrzywiła twarz w niezręcznym uśmiechu i już miała się obrócić, żeby po raz kolejny w tym roku odejść z niczym, gdy zatrzymał ją jego głos.

— Poczekaj. — Zaczął grzebać w szufladzie biurka, a potem we własnym worku żeglarskim i w końcu w kufrze, z którego wreszcie wyciągnął to, czego szukał. Podał jej książkę, używaną, dość wytartą, z poszarpanymi brzegami oprawionej w płótno okładki. A więc jednak. Uradowana, podała mu monetę, ale zaprotestował. — Nie kupiłem jej, tylko dostałem kiedyś od bogatego typy, którego wyciągnąłem z wody podczas sztormu. Odnalazł mnie potem w porcie w Avali i dał tę książkę. Nie wiem, jaki ma tytuł, domyślałem się tylko, że jest o morzu. — Wskazał na okładkę. Na jej środku,

w wyciętym w materiale okienku, widniał rysunek żaglowca wspinającego się po fali.

— Poszarpany żagiel.

— Co?

— Ma tytuł *Poszarpany żagiel* — powtórzyła Cora, cały czas trzymając monetę w wyciągniętej ręce.

— Zachowaj ją. — Kapitan zamknął jej dłoń i odsunął od siebie — Nie wiem, ile kosztowała, poza tym ja i tak nigdy bym jej nie przeczytał. Mój brat próbował mnie nauczyć, ale byłem zbyt uparty. Leżała tu tylko i zajmowała miejsce. Zbędny balast. A tobie się przyda, o ile cię w ogóle interesuje gadanie o morzu. Mnie nie interesuje. Wolę pływać, nie gadać.

— Opowiem ci, panie, o czym jest.

— Nie wątpię.

Tego wieczora, dopóki blednące światło wpadające przez okno gospody pozwalało, czytała, a kiedy trudno już było rozpoznać litery, starannie zawinęła swój nowy skarb w chustę i odłożyła do torby. Zasypiała przy akompaniamencie hałasów dobiegających z parteru, gdzie marynarze pili i bawili się z mieszkańcami Redport. Cora zawsze nocowała w tej gospodzie i zawsze w tej izbie, ale przeważnie towarzyszył jej ojciec. Raz na kilka tygodni pożyczali wóz i osła od znachorki, jechali do oddalonego o kilka godzin drogi Redport, zatrzymywali się w gospodzie kuzynostwa, ojciec szedł pić, a Cora szwendać się po porcie. Jeśli miała szczęście, przy nabrzeżu stał Albatros — największy z cumujących tam regularnie statków. Jego kapitan, Ednor Hibbing, miał układ z Corą: jego kuzynka była żoną księgarza w Avali, gdy więc przyplýwał na Kontynent i zatrzymywał się w stolicy, odwiedzał ją i kupował jakąś książkę, a potem Cora oddawała mu pieniądze i miała co czytać przez najbliższy rok. Miała dzięki temu aż sześć książek. To o całe sześć więcej niż inni mieszkańcy wioski, ale też tylko ona umiała czytać. Znała wszystkie swoje książki na pamięć, nawet te, które nie opisywały żadnych przygód, tylko rodzaje roślin pastewnych albo tę ze spisem modlitw i rytuałów odprawianych w świątyniach. Rok temu kapitan Hibbing przywiózł wiersze dworskie jakiegoś poety. Ich też Cora nauczyła się na pamięć, choć większości nie rozumiała. Były pełne dziwnych metafor i obcych jej słów.

Niestety od tamtej pory statki — w tym Albatros — przestały kursować na Kontynent. Morze pochłonięło zbyt wiele łodzi, by którykolwiek z kapitanów

chciał ryzykować. Za ledwie w ciągu miesiąca kilkunastu marynarzy i rybaków nie wróciło z dłuższych tras, pozostali ograniczyli więc rejsy do tych przybrzeżnych, w lagunach i między wyspami. Wiadomości z i do Awali przestały docierać. Nawet śmiałkowie, którzy w nadziei na omińnięcie środkowo oceanicznych sztormów wybierali, by płynąć przez daleką północ, nie wracali. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że dopłynęli na Kontynent i tam już zostali.

Lokalni beneficjenci wymian handlowych ze stolicą królestwa musieli się przestawić i zacząć całkowicie polegać na dostawcach i klientach z innych wysp Archipelagu, a w karczmach i gospodach przestano serwować wino. Zostały tylko piwo i lokalny, paskudnie śmierdzący rum. Bogatsi mieszkańcy miasta nie byli z tego powodu zbyt szczęśliwi, ale zwykli wyspiarze nawet nie zauważyli zmiany. I tak pili tylko to, co sami uwarzyli.

— A niech się i Kontynent zapadnie pod wodą, jeśli o mnie chodzi — mówił ojciec Cory, karczmarz w Rosmarry — nic mi po nich. Mamy tu wszystko, czego nam trzeba. A tego ich wina, tak czy siak, się nie da pić.

Miejscowi kiwali głowami i mu przyklaskiwali. Mała wioska rybacka, w której Cora mieszkała z ojcem, była chyba najbardziej niezależnym od Kontynentu miejscem na ziemi. Nie dość, że mieszkańcy żywili się praktycznie wyłącznie baraniną, złowionymi przez siebie rybami oraz lokalnym chlebem — to jeszcze nie mieszkał tu nikt jakkolwiek powiązany z królestwem. Nikt nie miał siostry w Avali ani kuzyna w Bricker, nikt nie studiował na Uniwersytecie, nikt nie widział nawet arystokraty bądź żołnierza. Tylko Shanta, mieszkająca za wsią znachorka, mogła wiedzieć to wszystko o Kontynencie, bo stamtąd pochodziła, ale uparcie odmawiała jakichkolwiek rozmów na ten temat, twierdząc, że Królestwo przestało dla niej istnieć w momencie, gdy oderwała od niego stopę, wsiadając na statek piętnaście lat temu.

Tym razem po raz pierwszy ojciec wysłał Corę do Redport samą. Poszła więc do Shanty po wóz i osła, a potem spędziła pięć długich godzin, poganiając go przez las i słuchając skrzypienia pustych beczek. Osioł był stary i uparty. Nie szedł zbyt szybko i musiał odpocząć po podróży, dlatego odstawiła go do stajni, a dla siebie, jak zwykle, wynajęła pokój w gospodzie. Następnego dnia wspólnie z dostawcami załadowała wóz beczkami pełnymi piwa i ruszyła w drogę powrotną do Rosmarry. Idąc przy osle, trzymała w jednej dłoni

powróż, w drugiej książkę i błędziła myślami po świecie żeglugi opisanym przez niejakiego kapitana Towelsa.

Opowiadał o swoich — prawdziwych lub zmyślonych, tego nie była w stanie stwierdzić — odkryciach na Morzu Południowym i o walkach z potworami morskimi. Shanta twierdziła, że potwory morskie nie istnieją, bo zostały wybite setki lat temu i teraz jedyne, co zagraża statkom, to piraci na morzach południowych, ale tam i tak nikt o zdrowych zmysłach się nie zapuszcza. Ale kapitan Towels pisał, że podczas rejsów po Oceanie kilka bestii napotkał. Cora chłonęła strony z opisami łusek, stojących na grzbiecie, kolczastych płetw, pokrytych ukwiałami grzbietów, kłów tak ostrych i twardych, że mogłyby nadziać człowieka jak kawałek mięsa na szpikulec. O samym żeglowaniu nie było w książce wiele. Autor zdawał się zakładać, że każdy wie, jak sterować łodzią, obsługiwać żagle i ster. Z pogardą opisywał ludzi poznanych w portach. Tych, którzy nie opuszczali lądu i zajmowali się czy to pieczeniem chleba, czy handlem lub prowadzeniem gospody. Pisał, że niczego nie widzieli i że nie ma sensu strzepić języka, by opisywać im to, co na morzu, bo i tak by się nie pomieściło w tych ich małych głowach. Jedynymi szczurami lądowymi, których darzył jaką taką estymą, byli magowie. Jednocześnie gardził nimi i pragnął ich mieć na statku.

Nie wiedzą, czym jest wiatr, ale umieją z nim rozmawiać. Nie znają burzy, ale potrafią ją uciszyć. I choć bez swoich sztuczek nie przetrwaliby najłżejszego sztormu, pływanie z nimi jest dużo łatwiejsze. Miałem okazję odbyć takie rejsy z magami na pokładzie. Nie dawały tyle przyjemności, co samodzielne tańczenie z wiatrem, ale gwarantowały bezpieczne dostarczenie ładunku do portu.

Cora przeczytała ten fragment trzy razy, próbując wyobrazić sobie, czym jest rozmawianie z wiatrem i uciszanie burzy. Czy magowie robią to za pomocą zaklęć? Rąk? Magicznych przedmiotów? Nie wiedziała wiele o magach, żaden z nich nigdy nie dotarł do Rosmarry, choć podobno czasem dopływali do Redport — jeszcze kiedy szlaki handlowe działały. Mieszkańcy wioski zaś nie interesowali się magią i jedyną osobą, która mogła coś wiedzieć, była Shanta, ale ona magii nienawidziła. I nie chciała o niej rozmawiać.

Dziewczyna przewróciła kolejną stronę książki, trafiając na jakiś odręczny napis, chyba z nazwą miejscowości, i jednocześnie zabiła muchę, która siedła

jej na szyi. Chmara gzów obudzona pierwszymi, wiosennymi upałami leciała za nią aż od Redport, ale dopiero to, co się wydarzyło, gdy dojechała do ostatniego skrzyżowania leśnych traktów, zmusiło ją do odłożenia książki.

— Cześć, śliczna.

Jasnowłosy chłopak pojawił się znikąd i chwycił sznur, na którym Cora prowadziła osła, przy okazji zaciskając dłoń na jej ręce. Dziewczyna szybko schowała książkę za pas spódnicy i wyszarpnęła dłoń wraz ze sznurem.

— Co robisz? — warknęła.

Znała go — Porter, syn sołtysa. On i chodzący za nim krok w krok chłopcy ze wsi zajmowali się głównie sprawianiem kłopotów rodzicom oraz dziewczynom. Ale nie jej. Za nią nikt się nie uganiał, nikt się o nią nie starał, nawet w taki sposób, jakiego by nie chciała. Było to swego rodzaju błogosławieństwo, jak mówiła, przewracając oczami, gdy któraś z panien z Rosmarry narzekała na zaloty kolegów. Wymuszone pocałunki, podglądanie przez okna izb, gdy się przebierały, ciągnięcie za spódnice. Jej to nie dotyczyło i cieszyła się z tego, ale jednocześnie zazdrościła innym dziewczynom powodzenia. Bo, jak mawiała jej matka „to dobrze rokuje”. Dziewczyna, której chłopcy robią psikusy, szybko wychodzi za męża, szybko rodzi dzieci i na coś się przydaje — tak mówiła. A Cory nikt nie zaczepiał. Tylko o niej mówiono. Szeptami, z drwiącym uśmiechem, z daleka. I nigdy nikt jej nie nazwał śliczną.

— To takie dziwne, że chcę eskortować dziewczynę przez niebezpieczny las do domu? — spytał Porter i zwinnym ruchem przebiegł przed osłem, a potem zrównał krok z Corą, trącając ją ramieniem. Spojrzała w bok, przelotnie, nie chcąc poświęcać mu zbyt wiele uwagi.

— Tak. To dziwne. Nigdy nie widziałam, żebyś się mną specjalnie przejmował, a poza tym jestem już prawie w domu.

— Do domu jeszcze kawałek. Może odpoczniesz? I dasz temu biednemu zwierzęciu odpocząć?

— Nie ma takiej potrzeby. — Unikała patrzenia w jego stronę i pociągnęła osła, przyspieszając kroku. Mieszało się w niej poczucie dyskomfortu z dziwnym podekscytowaniem. Gdyby teraz skapitulował i ją zostawił, byłaby rozczarowana. Ten chłopak był bożyszczem jej koleżanek. Stroiły się dla niego i patrzyły jak zahipnotyzowane, gdy w upalne dni, bez koszuli, prężąc młodzieńcze mięśnie spalone miejscami na różowy kolor, pomagał rybakom

przy kutrze. Cora nigdy nie dała się złapać na przyglądaniu się temu, a pytana wprost ostentacyjnie udawała brak zainteresowania chłopcami w ogóle.

— Widziałem, że masz książkę.

— Mam.

— Pokaż.

— Co ci to da. I tak nie umiesz czytać. — Odpychała go cały czas, choć pochlebiało jej, że wciąż próbował zagadać.

Zamilkł na chwilę, a jego wcześniej serdeczny uśmiech ustąpił grymasowi złości. Ale grymas zniknął równie szybko, jak się pojawił, a Porter wrócił do rozmowy, jakby nic się nie stało.

— Może zamiast czytać o życiu, trochę je poznasz. Tak, wiesz, poczujesz je na własnej skórze?

Wciąż mówiąc, dotknął jej ramienia, a potem przesunął dłoń na skraj dekoltu brązowej koszuli. Gdy dotknął jej skóry, odskoczyła.

— Co robisz!

— A nie widać? — Uśmiechał się drwiąco, a może zalotnie. Wyciągnął dłoń przed siebie, a ona, nie wiedząc czemu, podała mu swoją. Pociągnął ją na skraj traktu. Stanęli przy jednym z wielkich dębów, a on przesunął palcami po jej policzku. Bezwiednie rozchyliła usta i uniosła twarz. Był najwyższym z chłopaków z wioski, więc nawet ona nie dorównywała mu wzrostem. — Jesteś wyjątkowa, wiesz?

Nie odpowiedziała. Czowała, jak serce jej wali w piersi, czuła swój szybki i płytki oddech. I spojrzała mu w oczy, wciąż drwiące, trochę zimne, ale jednocześnie jakby lekko zamglone. Pomyślała o tym wszystkim, co mówiły czasem inne dziewczyny, o magii pierwszego pocałunku, miękkich nogach, mrowieniu w podbrzuszu, o językach stykających się w namiętym tańcu. Mówiły, że dopiero wtedy dziewczyna zostaje kobietą. Porter stał tak blisko, że wyraźnie widziała włoski rzadkiego, rudego zarostu pokrywającego skórę nad pełnymi ustami. Czy będą drapać, jeśli ją pocałuje? Czy to jest ten moment? — myślała szybko i chaotycznie. A potem usłyszała trzask gałązek na trakcie i nagle dotarło do niej, co się tak naprawdę dzieje. Zmarszczyła nos w gniewie.

Z całej siły uderzyła Portera pięścią pod żebra, odepchnęła go i biegiem wróciła do wozu. Kilku chłopaków stało przy beczkach z piwem i upuszczało napój do bukłaków. Wzdrygnęli się, gdy ją zobaczyli, ale potem wybuchnęli

śmiechem. A ten, który właśnie napełniał bukłak, nawet nie zakręcił kurka. Ciemne, cenne piwo lało się strumieniem i ściekało po deskach na ziemię.

— Naprawdę myślałaś, że mi się podobasz? — Usłyszała zza pleców drwiący, chłodny głos. — Że chciałbym cię dotknąć? Z własnej woli?

Mówił głośno, chyba żeby mieć pewność, że wszyscy to usłyszą.

Teraz to ona zacisnęła zęby, podniosła podbródek wysoko.

— Zostawcie to! — krzyknęła łamiącym się głosem i ruszyła biegiem na złodziei. Uciekali od niej, nie w popłochu, ale jakby opędzali się od much, i zanosili się wysokim, wciąż jeszcze chłopięcym śmiechem. Czuła się bezradna. Podniosła z ziemi kamień, rzuciła w jednego z chłopców i na swoje nieszczęście nie trafiła. Ale w końcu ustąpili.

— Mamy, po cośmy przyszli. Wystarczy — powiedział Porter i oparł się o drzewo, żując źdźbło trawy. A potem wszyscy patrzyli, jak Cora zabezpiecza beczkę, chwyta powróż i rusza do wioski. Nie obejrzała się za siebie, nie patrzyła na żadnego z nich. Wściekłość mieszała się jej w głowie ze wstydem.

Gdy dotarła do karczmy, słońce wciąż było dość wysoko na niebie. Zbliżało się przesilenie, więc dni były długie i nawet środek nocy naznaczony był luną różowego światła nad horyzontem. Parobek pomógł Corze wyładować beczki z piwem i zanieść je do spiżarni, a gdy skończyli, poszła do swojej izby i schowała książkę do skrzyni.

— Głupia. Głupia. Głupia — powtarzała pod nosem, myślami cały czas błądząc wokół wydarzenia z lasu. Narzuciła wełnianą chustę i zbiegła na dół. Wiedziała, że ojciec będzie w głównej izbie i układała sobie w głowie, co mu powie. Będzie zły, ale i tak by się dowiedział: jedna z beczek była przecież wyraźnie lżejsza i odszypuntowana.

Ojciec siedział przy stole z młynarzem i sołtysiem. Jak zwykle, nieobecny duchem, wpatrzony w jakiś punkt przed sobą, jakby przenosił się do innego, równoległego świata. Był taki od śmierci matki. Jakaś część jego samego odeszła wraz z nią i nigdy nie powróciła. Cora nie pamiętała już nawet, kiedy ostatnio rozmawiała z nim o czymkolwiek innym niż codzienność związana z prowadzeniem interesu ani kiedy roześmiał się szczerze z innego powodu niż na wspomnienie żony — a i w takich chwilach od razu uśmiech wiądnął na jego twarzy i zastępowała go maska obojętności.

— O, jesteś wreszcie — powitał ją. — Beczki wyładowane?

– Tak.

– Cztery ciemne?

Potaknęła.

– Były jakieś problemy?

Zawahala się. Spojrzała na twarze gości – młynarz był już tak pijany, że z trudem utrzymywał otwarte oczy, sołtys, choć wstawiony, wciąż jeszcze kontaktował. Jeśli teraz się dowie, że jego syn okradł karczmarza, wpadnie w furję, a tego wolała uniknąć. Nie chciała też wdawać się w krępujące szczegóły zdarzenia, o które na pewno będzie pytał. Z drugiej strony trudno jej będzie ukryć napoczętą beczkę i prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Poza tym jak każda kobieta, której przyszło przebywać samej w pomieszczeniu z pijanymi mężczyznami, próbowała przewidzieć wszystkie możliwe scenariusze.

– Tak. Gdy wracałam, chłopcy ze wsi dobrali się do jednej z beczek, przebili ją i upuścili część piwa.

Mina ojca stężała. Spojrzał na nią badawczo.

– Kto? – spytał posępnie, ocierając nos wierzchem dłoni.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz.

– Nie widziałam twarzy.

– Jak mogłaś nie widzieć twarzy? Spałaś czy co?

– Poszłam na chwilę do lasu, za potrzebą. Uciekli, gdy zobaczyli, że wracam.

Nastała cisza. Ojciec zdawał się już odpuszczać, zdążył już przenieść spojrzenie z powrotem na kufel. Ale wtedy odezwał się sołtys.

– Nie widziałaś ich. Skąd wiesz, że to z wioski? – Uniósł krzaczaste brwi.

– Tu w okolicy nie ma innych.

– Kłamiesz. Dobrze wiesz, kto to był i teraz go kryjesz. Powiedz, kto ukradł ładunek – warknął.

Przełknęła ślinę, ale nic nie powiedziała, choć miała ochotę wykrzyknąć mu twarz, że to jego syn.

– No, zróbże coś – warknął do karczmarza. – Albo sam to z niej wytrząsnę. Pokaż kieszenie – zwrócił się ponownie do Cory.

– Dlaczego?

– Może sprzedałaś towar na boku.

Skrzywiła się na myśl, że ktoś mógłby ją podejrzewać o coś takiego, ale podeszła do stołu, wyjęła z kieszeni i położyła na stole, między kuflami, książkę. Sołtys speszył się na ten widok, jakby sama obecność liter go onieśmiała.

– Książkę ma od kapitana, jak zawsze – wyjaśnił jej ojciec.

Sołtys zmrużył oczy i chwycił Corę za nadgarstek, przyciągając ją bliżej, na wyciągnięcie ręki, a potem włożył dłoń do kieszeni jej spódnicy.

– Zobaczmy, czy czegoś nie ukrywasz.

Czuła, że nie był zainteresowany jedynie zawartością jej kieszeni. Jego wielkie dłonie błędziły w lewej, a potem w prawej kieszeni, niby przypadkiem ocierały się o jej uda, wzbudzając w dziewczynie niesmak i skrępowanie. Matka nigdy nie pozwoliłaby na takie zachowanie. Ojciec jednak je tolerował, zwłaszcza u sołtysa, którego zawsze trochę się bał.

– Może trzyma monety w staniku... – wyrwało się młynarzowi i dopiero teraz Cora dostrzegła, jak lubieżnym wzrokiem obserwował on przeszukiwanie. – Ponętna ci się ta Cora zrobiła, całkiem, całkiem z niej kobieta. Niejeden chciałby sprawdzić, co tam chowa pod spódnicą.

– Mówisz o mojej córce – warknął jej ojciec.

– Niby tak, ale też obaj wiemy, że...

Karczmarz uderzył pięścią w stół i spojrzał na młynarza z niemą groźbą w oczach, jakby ostrzegał go przed wyjawieniem jakiegoś sekretu. To najwyraźniej odniosło skutek, bo ten uniósł obie ręce, a potem przerysowanym gestem udał, że sznuruje sobie usta. Gdyby nie fakt, że sołtys cały czas grzebał jej w kieszeniach, Cora z pewnością zwróciłaby uwagę na tę dziwną wymianę zdań. Była jednak zbyt zajęta zaciskaniem zębów i znoszeniem niechcianego dotyku, czego się uczyła od lat. Tak przecież był zbudowany świat. Kobiece ciało było dla mężczyzny wieczną pokusą i trzeba było jedynie poznać tę subtelną granicę pomiędzy niewinnym dotykiem „nie histeryzuj, o co ci chodzi” a dotykiem zakazanym „jak mogłaś mu na to pozwolić! Latawica!”. Reakcja w tym pierwszym przypadku była niewskazana, jeśli nie chciało się wyjść na małostkową cnotkę.

– A co to jest? – wykrzyknął sołtys i uniósł w palcach srebrną monetę, która zabłyszczała w świetle zachodzącego słońca wpadającego przez uchylone okno.

— To moje. — Zadarła podbródek. — Nie wolno mi mieć własnych pieniędzy? Poza tym nikt by mi nie dał srebrnej monety, nawet za pół beczki piwa. Za coś takiego kupuje się prawdziwie cenne towary.

— A za co taka dziewczucha jak ty mogłaby dostać srebrną monetę? — Uśmiechnął się dwuznacznie.

— Wypraszam sobie! — Szarpnęła się i wygładziła spódnice na udach. — To po matce i mogę z tymi pieniędzmi robić, co chcę. Nawet, o zgrozo, nosić je w kieszeniach! — Wyrwała monetę z dłoni mężczyzny i na wszelki wypadek cofnęła się o kilka kroków, lecz wciąż nie miała odwagi wyjść bez pozwolenia ojca.

Karczmarz skinął głową na potwierdzenie jej słów.

— Ano. Ma je po matce. Kupuje za nie te książki.

— I nie dziwi cię, że wróciła zarówno z książką jak i z pieniędzmi?

— Porozmawiam z nią o tym później. Zostaw ją. — Zaznaczył wyraźnie ostatnie zdanie, po czym ruchem głowy odprawił Corę.

Z ulgą ich opuściła.

Było coś przyjemnego w myśli, że nie wydała Portera. Jakiś rodzaj satysfakcji, że jest od niego lepsza, że postępuje szlachetnie nawet wtedy, gdy może na tym stracić. Przecież szlachetnym było nie donosić na nikogo. Honorowość była jedną z tych cech, które w sobie pielęgnowała i była z niej dumna, choć kiedyś matka nazywała to „głupią pychą”, której raczej należałoby się pozbyć. Jednocześnie Cora marzyła, żeby wszystko się wydało, żeby Porter dostał baty od ojca, nawet jeśli i ona miałaby dostać w skórę. Najbardziej jednak pragnęła sama kiedyś skopać mu tyłek. To by było najlepsze.

Gdy poszła po osła i wóz, przy szopie spotkała Yeni, córkę mleczarza i swoją przyjaciółkę. Jedyną dziewczynę z wioski, z którą lubiła spędzać czas, i jedyną, która od niej nie stroniła. Dziewczyny raczej omijały ją szerokim łukiem, ale Yeni była inna — lubiana przez wszystkich, uśmiechnięta, serdeczna i ładna — drobna dziewczyna z rudymi włosami. Czasem Cora zastanawiała się, jakim cudem ktoś taki jak ona się z nią przyjaźni.

— Kupiłaś nową książkę? — Yeni szeroko się na jej widok uśmiechnęła i oparła o ogrodzenie, gładząc palcami wypolerowane deszczem drewno.

— Tak. O żeglowaniu. Poczytam ci jutro, jeśli chcesz i jeśli ojciec nie zabroni mi wyjść. — Cora przystanąła, podniosła z ziemi dziurawy garnek, w którym teraz nosiła kurom ziarno, i odwiesiła go na płot.

— Dlaczego miałby ci zabronić?

— Bo Porter i jego banda wypili z pół beczki ciemnego, gdy wracałam. Napadli mnie na skraju lasu.

— Co za ćwoki! — obruszyła się Yeni — Powiedziałaś ojcu?

— Nie. To znaczy wie, że nas okradli, ale nie wie kto. Był akurat z sołtysem i... Nie chciałam robić Porterowi problemów.

— Sam sobie ich narobił. Świnia. Myśli, że mu wszystko wolno. — Ta złość Yeni na Portera była gestem solidarności z Corą i sprawiła jej przyjemność.

— Nie chcę o nim rozmawiać. Ani o tym, co się stało. Muszę iść do Shanty. Idziesz ze mną?

— Nie mogę... Umówiłam się z dziewczynami w porcie. Będziemy wyszywać chustki na święto przesilenia. Tara wymyśliła, żebyśmy wszystkie miały tym razem maki, bo ma dużo czerwonej nici. Poza tym pole za młynem zawsze jest pełne maków i zawsze chciałyśmy je mieć w wiankach, ale szybko po zerwaniu więdną i się nie da. Więc w tym roku będą uwiecznione na naszych chustach. Tobie pięknie by było z takim makiem. Myślałam, że dołączysz. Może jak wrócisz? — Yeni chodziła, mówiąc. Jak zwykle rozpieierała ją energia.

— Nie mogę. Ojciec kazał mi wracać.

— Rozumiem.

— Poza tym nie znoszę tych idiotycznych chustek. I tych dziewczyn. Są głupie jak capy.

Yeni zmrużyła oczy.

— One tak o tobie nie mówią.

— Ta, jasne. Pewnie mówią gorzej.

Przyjaciółka poprawiła warkocz, z którego wymsknęła się jeden krótszy loczek i odruchowo wygładziła spódnice. Nie umiała kłamać i zawsze, gdy rozmowa schodziła na trudne tematy, milczała, udając, że coś innego przykuło jej uwagę. Ale Cora nie potrzebowała odpowiedzi. Doskonale wiedziała, co o niej mówią — że jest wyniosła, że nikogo nie lubi, że ma się za lepszą.

Mieli rację: tak właśnie było. Uważała, że jest lepsza od innych. No, może poza Yeni — ona jedna nie tylko nie naśmiewała się z ksiązek, ale wręcz się domagała, żeby je jej czytać. Gdyby tylko miała więcej czasu i chęci, sama nauczyłaby się czytać i miałyby ze sobą więcej wspólnego, ale Yeni wołała zwykłe dziewczęce zajęcia: szycie, gotowanie, zaplatanie włosów. I kochała się w synu

młynarza, z którym chciała mieć dzieci i domek na skraju wsi. Coś, co dla Cory było urzeczywistnieniem najgorszego koszmaru: spędzenie tutaj, w Rosmarry, wśród ludzi, którzy jej nie rozumieli i nie lubili, reszty życia. Nie pozwoli zrobić z siebie kolejnej zgorzkniałej, zamartwiającej się matki i żony, której jedynym życiowym celem jest usługiwanie mężowi i dbanie o dzieci, wiecznie chorujące i zachowujące się, jakby jedynym zajęciem było pakowanie się w tarapaty. Tak właściwie to z innymi kobietami w wiosce nie miała nic wspólnego, no może poza jasnym kolorem włosów — choć i ten nie był dokładnie taki sam.

Większość mieszkańców Rosmarry miała płomienne, rude loki, małe nosy obsiane gęsto piegami i zielone oczy, a do tego skórę tak jasną, że wystawienie jej na słońce skutkowało oparzeniami słonecznymi. Włosy Cory nie kręciły się tak i nie były tak żywo ogniste jak włosy innych, były wyraźnie ciemniejsze i bardziej szarawe, jakby wiatr wywiał z nich kolor. Wyglądały jak sierść muła. Yeni chciała być kiedyś miła i gdy wczesną jesienią spacerowały wzdłuż łąki przekwitłych traw, porównała kolor włosów Cory właśnie do tej łąki. Miała dobre intencje, ale Corze te trawy kojarzyły się ze śmiercią. Takie miała włosy. Jak umierająca łąka. Jej ciemniejsza cera wolniej się opalała, a piegi wyskakiwały na niej tylko wtedy, gdy cały dzień spędziła na słońcu. Miała też wyraźnie większy nos niż inni mieszkańcy wyspy, z garbem na środku, jakby ktoś jej przypakował w ten nos pięścią. A jej oczy nie były zielone. Kiedyś, patrząc usilnie w wypolerowane, metalowe lustro, próbowała odkryć w nich choć isierkę zieleni, tej żywej zieleni oczu jej matki. Ale widziała tylko szarość. Yeni twierdziła, że czasem, w odpowiednim świetle albo w pewnych chwilach, jej oczy bywały też fioletowe.

Gdy Cora ruszyła na południe, słońce muskało już linię drzew na wzgórzach na zachodzie wyspy, oblewając pola i lasy ciepłym światłem. Przez jakiś czas towarzyszył śpiew rudzika, a gdy zamilkł, powietrze przeszył krzyk myszołowa, który gniazdował niedaleko chaty Shanty. Widziała, jak kołował na niebie, o nietypowej dla niego porze, bo o zmierzchu zwykle chował się gdzieś na zboczu góry. Tym razem latał, trochę histerycznie unosząc się i opadając, w okolicy jednego z samotnych drzew w dolinie. Jego krzyk był inny niż zwykle. Brzmiał, jakby bronił gniazda. Cora, która zawsze czuła z nim jakąś dziwną więź, zaciekawiona, zboczyła z drogi i poprowadziła osła ścieżką w stronę drzewa. Korona dębu jaśniała ciepłym, pomarańczowym światłem na tle

nieba. Słońce muskało też końcówki wysokich traw wokół, przez co wszystko wyglądało, jakby płonęło. Im była bliżej, tym wyraźniej widziała leżący przy pniu kamień. Szarobrązowy, płaski, nieobecny dotąd, jakby pojawił się tu nagle, zmateralizowany boską interwencją.

Dopiero gdy była naprawdę blisko, zrozumiała, że to nie kamień, tylko skulona sylwetka człowieka. Nagiego, bladego mężczyzny. Rozejrzała się wokół zaniepokojona, ale poza wciąż krążącym na niebie myszołowem nie dostrzegła żadnych znaków życia. Ani śladów kół, ani ubrań, ani worka czy choćby buta. Puściła powróz i podeszła bliżej. Mógł nie żyć. Wyglądał jak topielec z tą siną, niemal szarą skórą, pod którą Cora widziała zarys silnych mięśni ramion i pleców. Na czoło i policzek mężczyźnie opadały ciemne włosy, były posklejane i brudne, lekko się na końcach kręciły. Odgarnęła pasmo, by odsłonić twarz, choć już teraz, ze względu na jego wzrost i ciemne włosy, wiedziała, że to nikt ze wsi. Wyglądał, jakby spał zmęczony podróżą lub jakimś tragicznym wydarzeniem. Miał ponad tygodniowy zarost, sine, spierzchnięte usta i poorane drobnymi zadrapaniami policzki. Trudno było ocenić, czy oddycha. Cora położyła dłoń na jego żebrach, tuż pod ramieniem, które opadło na trawę przed nim. Leżał na boku. Klatka piersiowa lekko się unosiła: miarowo, choć płytko. Żył. Jego skóra była chłodna w dotyku i lepka od zaschniętego potu.

— Panie... — zaczęła niepewnie, jakby chciała go obudzić i jednocześnie bała się go obudzić.

Nie zareagował. Zastanawiała się, co zrobić: iść do Shanty najpierw i prosić o pomoc, czy od razu próbować go załadować na pusty wóz i zawieźć do znachorki. Szczęście w nieszczęściu, że znalazła go tak blisko chaty. Shanta umiała leczyć. Jej pokręcone palce naznaczone siatką wystających żył, plam i blizn od ciężkiej pracy dawały ukojenie w gorączce, choć ona twierdziła, że to nie dłonie leczą, tylko rośliny.

— Panie — powiedziała ponownie, głośniej.

Jego powieki drgnęły i lekko się rozwarły. Spojrzał przed siebie, na falujące trawy i dziewczynę kucającą przed nim. A potem rozchylił usta i wziął wdech, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego zaniósł się kaszlem. Odsunęła się. Może był chory. Wyglądał dziwnie, inaczej niż ludzie, których znała. Po prostu nie wyglądał jak wyspiarz.

— Zaopiekuję się tobą. Nic nie mów. Oddychaj. — powiedziała i okryła go swoją wełnianą chustą. A potem spróbowała go dźwignąć za ramię, ale był stanowczo zbyt ciężki.

— Musisz mi pomóc. Sama nie dam rady...

Spełkane wargi znowu się rozchyliły, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Był skrajnie wyczerpany, słaby, ledwo przytomny. Jednak z wielkim wysiłkiem udało mu się zebrać się w sobie i unieść na ramieniu, a ona pomogła mu wstać na płaczących się, chwiejnych nogach i wspólnymi siłami dotarli do wozu.

Shanta stała na ganku, jakby na nich czekała. Nie zdziwiło to Cory. Staszka miała jakiś dodatkowy zmysł i prawie zawsze wiedziała, gdy ktoś miał ją odwiedzić. Twierdziła, że jak się jest w jej wieku, to zbyt dobrze się zna język świata, żeby nie widzieć „znaków na niebie i ziemi”. Teraz wycierała dłonie w fartuch i uważnie obserwowała Corę, osła i wóz. Wokół panowała dziwna cisza, jak wtedy, gdy na polanę miałby wkroczyć wilk i wszystkie zwierzęta zamierają. Ale tu nie było wilka. Był bezbronny, potrzebujący pomocy człowieka.

— Cześć, szczeniaku. Co tam masz? — krzyknęła Shanta i ruszyła schodkami na spotkanie gości.

Cora zastanawiała się, co mogłaby odpowiedzieć. Że zabrała jakiegoś nieprzytomnego człowieka nie wiadomo skąd? Poza tym chyba znowu zasnął i nie chciała go budzić krzykiem. Leżał na boku, a przedramię, które spadło z desek, kołysało się bezwładnie w rytm skrzypienia wozu. Doprowadziła osła prawie pod sam ganek, żeby łatwiej im było przenieść nieznanego do chaty.

Gdy Shanta zobaczyła jej nietypowy ładunek, bez słowa chwyciła mężczyznę pod ramiona, nakazując Corze wzrokiem, by ujęła jego kostki. I tak, jak worek kartofli okryty z czystej przyzwoitości wełnianą chustą, zanosły go do chaty i położyły na pryczy. Zdyszane stały obok, a Shanta wzięła się pod boki, wyraźnie rozbawiona, co wydało się Corze co najmniej ...nie na miejscu.

— Skądżeś go wytrzasnęła? Z Redport? Leżał pijany w rowie, hę? — Zażmiała się i nie czekając na odpowiedź, ruszyła pod ścianę, na której wisiały kuchenne rondle.

— Leżał niedaleko chaty pod drzewem, ptak nad nim krążył. Myślałam, że jest martwy.

— Przecież widzę, że ledwo żywy. Masz, przynieś wody. — Podała jej naczynie. — Nagrzeję kuchnię. Ech, ty to zawsze coś przytargasz. Jak nie kunę, to ptaka. Jak nie ptaka, to ranną mysz. Ale człowieka to jeszcze nie było — mamrotała pod nosem, sięgając po zioła suszące się przy kominie.

Rozпалиły ogień i zagotowały wodę. Potem, gdy Shanta parzyła zioła, Cora mokrą szmatką przecierała twarz śpiącego. Trzask ognia w piecu i wiatr szumiący w ciemnych koronach drzew przywoływały atmosferę jesieni, mimo że dopiero co obudziła się wiosna. W izbie pachniało wrotyczem i rumiankiem.

— Idę nakarmić osła — powiedziała staruszka, ale zatrzymała się jeszcze w drzwiach i uniosła palec. — Tylko żeby ci do głowy nie przyszło go całego myć. Ja się tym zajmę. Twoja matka by się w grobie przewróciła, gdyby się dowiedziała...

Cora zamoczyła szmatkę w ciepłym wywarze i ponownie przyłożyła ją do skroni człowieka leżącego na pryczy. Wyglądał słabo i bezbrinnie, ale oddychał spokojnie. Zanim znów zasnął, wypił trochę wody. Nie otworzył jednak oczu, które teraz niespokojnie poruszały się pod powiekami, jakby śnił o czymś intensywnie, ale ciało pozostawało bezwładne i rozluźnione. Pachniał solą i czymś dziwnym, obcym, ale ciekawym. Znała ten zapach, choć nie wiedziała, skąd. Przywodził na myśl ogród, nie taki warzywny jak przy domach w wiosce, tylko piękny, duży, wypielęgnowany. Nigdy w takim nie była, ale wyobraźnia podsuwała obrazy krągłych rabat, przystrzyżonych żywopłotów, błyszczących w słońcu, pachnących, ogromnych kwiatów, haftowanych trzewików na zwirowej ścieżce, niosła śmiech i plusk wartko płynącego strumienia. Widziała go tak wyraźnie, jakby kiedyś patrzyła na niego godzinami, choć przecież nigdy tego nie doświadczyła.

Po przemyciu włosy nieznajomego pociemniały i nabrały blasku, a Cora upewniła się przy okazji, że nie doznał urazu głowy. Gęste brwi i długie rzęsy, równie ciemne, co włosy, wskazywały na pochodzenie spoza Archipelagu. Może był jednym z marynarzy, którzy próbowali przedostać się szlakiem z Kontynentu? Może ocean wyrzucił go na brzeg, a on doczołgał się aż tu? Na południu pasmo górskie zanurzało się w wodzie i podobno ciągnęło się tak, ukryte głęboko, aż do Kontynentu. Brzeg był niebezpieczny, suchy, najeżony skałami, o które rozbijały się fale. Odpływ odsłaniał głębokie jaskinie, do których nikt nie śmiał się zapuszczać. Nie było tam już żadnej wioski, żadnej chaty. Domek Shanty był najbardziej wysuniętym na południe siedliskiem

człowieka na całym Archipelagu. Jeśli tam się rozbił jakiś statek, to, że ktokolwiek przetrwał i przedostał się na równinę, byłoby prawdziwym cudem.

W ogóle to byłby cud, gdyby jakiś statek z Kontynentu wreszcie dopłynął do wyspy. Archipelag od ponad roku był odcięty. Najpierw zauważono, że przestały przyplływać statki z Avali, Bricker i Ravine. Potem długo czekano na powrót rodzimych statków i kutrów. Bez skutku. Nie wrócił nikt. Rybacy wciąż wypływali na połów, nie raportowali nic dziwnego, ale się bali dalekich łowisk. Zaczęły krążyć pogłoski, jakoby Kontynent spłonął. Zniknęła z powierzchni ziemi. Niektórzy twierdzili, że bogom nie spodobały się podróże statkami i że zatapiali każdego, kto wyruszał dalej. Że to Agron, który chciał, żebyśmy żyli z roli, a nie na falach. A i szeptano o przebudzeniu legendarnych potworów morskich, ogromnych kałamarnic i krwiożerczych rekinów. Raz do Rosmarrary przyjechał obwoźny handlarz, który opowiadał, jak to w oceanie powstał wielki wir, który pochłaniał wszystko, co się do niego zbliżyło. Mówił, że wiele statków spoczęło na dnie. Nikt nie znał prawdy, ale w małych wioskach Archipelagu, zawsze raczej niezależnego od Kontynentu, nie miało to większego znaczenia. Z całego Rosmarrary tylko Cora ubolewała nad brakiem łączności z Kontynentem. Nie tylko dlatego, że nie mogła już dostawać książek od kapitana Hibbinga, ale przede wszystkim z powodu marzeń o opuszczeniu wysp. Gdy bywała z ojcem w Redport, z ciekawością słuchała rozmów, jakie toczyli w tawernie goście z Avali. Wyglądali tak odmiennie. Byli elokwentni, ładnie ubrani, nosili inne fryzury. Łowiła każde słowo o królestwie, magach, uniwersytecie, wielkich rodach, balach i koncertach, o rozlewiskach, jeziorach i rzekach tak szerokich, że nie dało się ich pokonać pieszo. Wyspy były tak małe... i tak nudne. Gdzie się nie ruszyć, do którego portu by nie zawinąć, wciąż to samo: lasy, pastwiska, ocean. Można było mieszkać we wsi większej lub mniejszej, ale to zawsze były wsie i wszędzie unosił się zapach ryb i obornika.

Gdy wróciła Shanta, na dworze było już dość ciemno. Cora wrzuciła szmatkę do gotującej się wody, żeby ją wyparzyć, a Shanta zastąpiła ją przy chorym.

– Powinnaś wracać. Ja go już przywrócę do życia – powiedziała po chwili.

– Tak... – rzuciła nieobecny tonem Cora, wciąż się przyglądając mężczyźnie, który, pomimo tego, że spał, emanował jakąś dziwną siłą. – Powiedz mi jeszcze tylko jedno.

– Mhm...

— Co to znaczy rozmawiać z wiatrem i uciszać burze? — spytała ot tak, starając się nie patrzeć na Shantę, bo doświadczenie ją nauczyło, że każde pytanie o magię nie tylko ucinano rozmowę, ale i budowało mur między nią a zna-chorką. Otuliła się chustą, którą wcześniej okryła mężczyznę i która wciąż miała na sobie jego zapach. Udawała, że nie zależy jej na odpowiedzi.

Staruszka zmarszczyła brwi i westchnęła. I gdy Cora już myślała, że się nie doczeka żadnej reakcji, usłyszała:

— To znaczy... Spędzić lata na ich studiowaniu, na uczeniu się dostrzegania wszystkich ich elementów, przyczyny, przebiegu i skutków. A potem, potem trzeba zapomnieć o wszystkim, co się o nich wie i wpuścić je do środka, by stały się częścią ciebie, wyczuwalną i wrośniętą w każdą komórkę twojego ciała. I wtedy można się z nimi komunikować, jakby były w tobie i poza tobą jednocześnie. Można je prosić o wiele, wiele też z siebie oddając, z szacunkiem, jaki im się należy, bo to żywioły mocniejsze niż ja i ty. Mogą nas stworzyć, a każdy, komu się zdaje, że nimi włada, tak naprawdę jest w ich władzy i o tym nie wie. I to jest jego największy błąd.

Tego się Cora nie spodziewała. Staruszka, trochę blada na twarzy od zmęczenia, powiedziała jej teraz o magii więcej niż przez wszystkie poprzednie lata, a Cora chciała słuchać dalej. Chciała więcej. Chciała usiąść z kubkiem gorącej herbaty przy piecu i zadawać kolejne pytania, a potem słuchać i zapamiętywać każde słowo. Ale wiedziała, że nie dostanie dziś już nic więcej. Limit się wyczerpał, temat był zamknięty. Skinęła więc tylko głową w niemym podziękowaniu i wyszła na chłodne, wiosenne powietrze. Czowała, że coś się zaczęło. Nie wiedziała tylko co.

